



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEC.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie; kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY  
Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

### Na dworze deszcz i mgła....

„Jakoś mi senno, tęskno i nudno.”  
J. Zacharjasiewicz.

**L**istopadzie, listopadzie!  
Wichry, chłody i ulewa....  
Ledwie wstał, już spać się kładzie,  
Kto nie zrzędzi lub poziewa—  
Kłęby szarych chmur nademną,  
Niema zmierzchów, niema zórz:  
Do południa—jeszcze ciemno,  
Od południa—ciemno już.

Duszo ludzka, zestąp w siebie  
I w życiowym grzeb zapasie;  
Tlały tęcze w swoim czasie  
Lśniły gwiazdy na twem niebie...  
Kataralne tłumiąc dreszcze  
W rozmarzeniu oczy zmrzuj;  
Róże przyśnią ci się jeszcze  
Choć przekwitły—dawno już.

Listopadzie, listopadzie,  
Coś uczynił ty z różami?..

Hej, jest który! Niech drewnkami  
Komin po sam brzeg nakładzie,  
Okna szczelnie niech zasłoni  
I niech zmyka precz co tchu!  
Sam, oparłszy dłoń na skroni,  
Śnić i marzyć będę tu.

Giń dniu, mgieł i błot niesyty!  
Buchaj ogniu, trzaskaj, hucz!  
Skarbiec wspomnień mych dobyty,  
W zamku rdzawy chrzesnął klucz.  
O mozaikę pamiątkowa....  
Com przeboleł, przeżył, czuł  
Długoż jeszcze czas przechowa  
W aromatach zeschniętych ziół?  
Długoż mumja ta wspaniała  
Co młodością moją zwie się  
Będzie martwa tu leżała  
Jak królowa śpiąca w lesie?  
Królewiczu!—oto ona.  
Przerwij czar jej gnuśnych snów...  
Niech zbudzona Magelona  
W twe ramiona znijdzie znów!

Królewiczu, przebóg, czemu  
Drżysz i cofasz się nieśmiały?  
Czyżby usta twe płomienne  
Moc czarownicę postradały? —

Spuszcza oczy i rozpacznie  
Ręce składa i rozkłada  
I w kąt wciska się nieznacznie,  
Z rąk mu zwiędły kwiat wypada  
I po głowie zgiętej lekko  
Coś mu jakby szron przebłyska,  
Skarbca mego ciężkie wieko  
Spuszcza z trzaskiem i naciska....

I samotny, zadumany  
Siedzę sam—i w ogień patrzę.  
Światło zsuwa się ze ściany,  
Rychło zmrok je wokół zatrze.  
Cień i cisza.—Pierzchły mary....  
Smętna wichru gra muzyka,  
W rdzawych sprężyn mosiądz cyka  
Zająkliwy zegar stary.  
Niewyraźny kształt kobiety  
Mignął—widmem zczepił zwodniczem...  
.....  
Ja to jestem sam, niestety,  
Owym marnym królewiczem.

Czesław.

# POGA WĘDKA.

„Gadu, gadu  
Stary dziadu,  
Baj nam, baj  
Po zwyczajcu,  
O tym...“

— Ba!

Poruszyło mi pierś westchnienie...

Gawędziłoby się, moi łaskawi panowie i panie, gawędziłoby się to o tem, to o owem, gawędziłoby się z wielkiem podniesieniem serca i radością duszną, gdyby można było, zamknięte dzisiaj i tak dobrze opatrzone okna podwójne otworzyć, przez któreby mogło wpłynąć trochę wiosennego powietrza ze złotych promieniami słońca, z pieśnią ptasząt, wonią róż i jaśminów. Przyjdzie i to, bo przyjdzie musi—tym czasem...

— Brrr!...

— Co, zimno panu?

— Ot, tak jakoś—niezupełnie ciepło.

— No—upałów nie mamy, ale przymrozki i białe płatki śniegu, które już przed kilku tygodniami trwożyły wczesną zimą—opuściły nas łaskawie i, doprawdy, nie wiem co sądzić o pogodzie dni następnych. Kto wie czy nie zostaniemy zwolnieni od uścisków zimnej dłoni królowej śniegów, czy szare jednolite obłoki zbitą masą rozciągające się nad głowami naszymi nie zostaną rozpedzone przez więcej przyjazne wiatry, a przez omglone szyby okien mieszkań naszych nie wpadnie parę promyków słońca, choć trochę przypominających nam wiosnę.

— Tak państwo sądzicie?

— Czy do takiego sądu powodów nie mamy?

— A na czem opartych? Może na doświadczeniu? Jeżeli tak—to—to niezupełnie dobre horoskopy zestawiby nam wypadła.

— Jesteś pan niedowiarkiem...

— Nie—tylko dmucham na zimną wodę.

— Czy Święty Marcin przyjechał na białym koniu? czy pierś gęsia nie była fioletowej barwy?

— A, prawda—fioletowej barwy była pierś gęsia. Ze wszystkich wróżb najbardziej mi się to ta gęś podoba.

— Nieznośny pan jesteś!

— Przecież nie ja wspominałem o Świętym Marcinie.

— Czy pan codziennie wychodzisz ze swojego mieszkania?

— A jakże!

— Wiele razy spotkałam pana, zawsze go w letnim widziałam paltocie.

Mimowoli wzrok się mój zwrócił w stronę placu Wareckiego, przy którym wznosi się gmach piękny, z pięknym napisem na czole: *Lom...* i t. d.

— Tak, pani—odpowiedziałem melancholijnie.

— Zechciej mi więc pan powiedzieć, dla czego gardzisz, choćby watanem paltotem?

— Nie, pani—tego nie powiem!

— Cha, cha, cha,—wyręczę więc pana,

Coś, jakby strumyk wody, połaskotało mnie za plecyma.

— Dla tego, że jest ciepło! powiedziano mi.

— Właśnie, właśnie dla tego—podechwytem z pośpiechem.

— A przecie, mniej więcej, jesteśmy już w połowie Grudnia... Miesiąc ten nie odznacza się wcale dobrymi obyczajami, kapryśny jest, zmienny a nade wszystko okrutnie chłodny. Tym czasem, jak to już wyżej zauważyłam, po ostrych przymrozkach i zawierusze śnieżnej, mamy...

— Mgły...

— Mamy...

— Niepewność...

— Co jeszcze pan z łaski swojej dodasz?

— Złudzenia...

— A!...

— Tak, pani—i one właśnie mogą niedobrze wpłynąć, gdy nadejdzie zwykły czas zimowy ze

swemi zaspami i mrozem dławiącym swobodny oddech piersi. Złudzeni fioletową pierścią gęsi, zapomniemy o ogniu na kominku, o przygotowaniu materiału do ogrzania krwi w żyłach. Nie wykupimy zastawionych futer w lombardach, gotowiśmy jeszcze i letnie palto tam zanieść, dla tego, że święty Marcin na białym koniu przyjechał. Jeżeli zima, różgą dwudziestostopniowego mrozu nie kropnie nas po skórze i zechce zfolgować ze swoich tyrańskich zachcianek—to, w najlepszym razie, nie prędko oswobodzi się niebo z szarej obłoczki chmur, na słońce i na wiosnę nie jeden dzień jeszcze poczekać nam przyjdzie, a ogień na kominku wygasać nie powinien. Gdyby nawet dobra wiara pani nie miała się rozbić o srogą rzeczywistość—i dziwnym trafem, niebawym dotąd a dobrze nam znanych z praw swoich w naturze, wiosenny miał powiać powiew: przygotowujmy się mimo do ostrej, długiej zimy, ażeby nas czasem nie zaskoczyła w chwili lekkomyślnego zaniedbania się, gdy w piwnicy nie będzie węgla, a na karkach ciepłej odzieży do odparcia boreaszowych wichrów. Gdy wiara pani stanie się rzeczywistością—tem lepiej! Nie stracimy nie na zgromadzonych zapasach; ale przed czasem nie wierzymy chwilowym, cieplejszym niby to techniom, bo klimat nasz dotychczasowy, nie daje wcale rękami ku temu. Jakkolwiek nauka ogromny krok naprzód zrobiła i, siedząc w Wiedniu a mając przyjaciela w Berlinie, można z nim wesolą ciąć pogawędkę przez telefon, lub w gorących słowach o posag bogatej panny się oświadczyć—jednakże stawiane przez nią—(nie przez pannę lecz naukę) wróżby o jutrzejszej pogodzie, nie koniecznie dobrymi cieszą się rezultatami. Kto wie czy tutaj, długa, obserwacja rozmaitych zjawisk przyrody, tak nazwana, „chłopskie doświadczenie“ pewniejszem nie jest.

A co ona mówi?

Brrr!.. zawczasu zacieram ręce.

— Zima, panie dobrodzieju będzie, aż strach! powiadał mi niedawno leśnik pewien, przed którym zachwyciałem się ciepłem grudniowem.

— Ej, panie! mruknąłem niedowierzająco.

— Kiedy mówię, to powiadam—panie dobrodzieju—są ślady niechybne.

— Jakie—jeżeli łaska?..

— Polne myszy i chomiki wcześniej zgromadziły swoje zimowe zapasy, dziki zwierz pokazuje się już w pobliżu wiosek, robactwo w swych zimowych mieszkaniach na gwałt kończy robotę, ptactwo odleciało wcześniej, niż zwykle na zimowe kwatery, świerk, sosna, jodła po raz wtóry igłami się osypały, a jeżeli pan dobrodzieju zwrócił uwagę, to wszystkie liście razem prawie opadły.

Gdzież ja, mieszkaniem mięsa, mogłem zwrócić uwagę na raptowne opadnięcie liści drzew, albo na odlatujące klucze żorawi lub gęsi stada, które prawdopodobnie nad dymiącymi kominami Warszawy nie bardzo lubią przelatywać. Nie mówię już o myszach i chomikach, nie mających nic wspólnego z syrenim grodem. Podobnych zjawisk, chodzący między murami kamienia, wynaturzony syn przyrody, dostrzedz nie umię—a tymczasem instykt zwierzęcia, czułość rośliny bezwiednie może przygotowują się na przyjęcie srogiego gościa. Zbadać tę tajemnicę ich życia, odkryć węzeł łączący ich z całą przyrodą—to właśnie nauką jest nauk, kluczem do wielu zagadek.

Dzisiaj zmądrzeli ludzie... świata losów

Nie wyczytują z różnych zmian w naturze

Ongi słuchano tajemniczych głosów,

Szukano znaków na ziemi i w górze.

Trwożyły w polu splątane źdźbła kłosów

I dziwołaga jakiś znak na chmurze,

I wody rdzawą przepasane wstęgą—

Innej nie znali księgi—świat był księgą.

Ha! może i umieli czytać w tej księdze? Nie długo czekać; a zobaczymy panie leśniczy, czy doświadczony z ciebie spostrzegacz.

Tymczasem dobrze robi „Towarzystwo rozdawnictwa odzieży“, że nie ludzi się pozorami ciepła, lecz chętnie ucha nakłania do wróżb pana leśniczego. Towarzystwo to, złożone z ludzi dobrej woli, które za przewodnika dla siebie wzięło—miłosierdzie, pod naczelnictwem p. Z. Hartingh już od lat trzech zajmuje się zbieraniem i dostarczaniem odzieży dla bogich. Roku bieżącego urządziło rabatową sprzedaż w sklepach i wzywa—szczęśliwszych (bo o szczęśliwych—mówić nie można) do przyjęcia z pomocą w celu, na wszelkie pochwały, wyższym.

A pomoc to bardzo skromna.

Odzież znoszona, zużyte obuwie, kawałki zbywającej materii—oto ofiara, której się od litościwym wymaga. Przejrzyjmy kąty naszych mieszkań—wiele tam wala się tych rzeczy nieprzydatnych na nie już dla nas, które *handlesowi* za marny grosz oddajemy, gdy tymczasem tym skrawkiem z sukni zrzuconej od dawna, lub resztką pozostałego barchanu, moglibyśmy się przyczynić do okrycia bark nagich i drętwiejących stóp od zima.

Zima! to wyrok groźny dla ludzi bezdomnych, dla wydziedziczonych przez los, lecz braci i siostr naszych w Chrystusie. Obciążone rodziny, wdowy, sieroty bez opiekunów, szpitalnicy, którzy z łoża choroby się podnieśli, pozabawione zajęcia wyrobnicze—słowem, cała rzesza tych nieszczęśliwych zwraca się do „Rozdawnictwa“ z prośbami o bieliznę, obuwie i jakąkolwiek odzież. Któż wiedząc o tem nie pośpieszy na aleję Jeruzolimską pod Nr 70, gdzie pani Hartingh owe dary miłosierdzia przyjmuje?

Czy niema serc dobrych, czy poczciwość wygasa w sercach ludzkich?

Narzekają niektórzy zgryźliwce i wróżą koniec świata; przez odymione okulary patrzą i wszystko im się w zbyt szarym kolorze przedstawia. Świętych może nie mamy—lecz ich zostawmy Bogu—byłoby źle, gdyby zacnych zabrakło.

Tymczasem tak nie jest.

Od czasu do czasu jakiś czyn piękny błysnie i smutne pocieszy serce a zniechęconych do życia, z życiem pogodzi. Wolę takie błyski chwycić, niż zmotywować czarne nici wypadków, choć ochotniej ludziska chwytają dziennik z wiadomością o jakimś nowym Kubie Rozpruwaczu, niż o cichym, szlachetnym czynie. Jabyśmy takie wstrętne wypadki wynaturzenia się istoty ludzkiej umieszczał tylko w jakimś specjalnym piśmie, traktującym o sprawach kryminalnych, lecz srogi bym rozkaz wydał, by pisma brukowe, czytane nawet przez wyrostków i ludzi wszystkich stanów, bawily ogół, wyrafinowanemi nieraz, czynami zbrodni. Jak odzież przepacha jakąś ohydłą wonią zepsutego kadzidla, tak serce przesiąka złem, choćby za górami spełnionem. Niech ktoś upadającego powstrzyma, kogoś z nędzy dobędzie—niezawsze, ale może zanotują, fakt taki kilku wierszami drukowanemi *petitem*—lecz Kuba Rozpruwacz całą szpalnę mieć będzie, a reporterya niestranności dostanie, czekając na dalsze o Kubie wiadomości. Prawda, że czyn poczciwy nie lubi reklamy, ukrywa się często jak perła w muszli, ale jeżeli o tej drobnej perełce się dowiemy, wspominając o niej nie popelnimy grzechu; przeciwnie, zachęcimy może nie jedną kroplę do skrzystalizowania się w perłę podobną.

Od pewnego czasu, bo to, tam—donoszą nam pisma o poczciwościach różnych. Wdzięczni im jesteśmy, bo to błysk słońca na niebie omglonem, rosa na liście zwiędłe.

Niosę wam kroplę rosy:

Przed paru miesiącami umarł w naszym mieście technik N... pozostawiając żonę i dzieci sześcioro bez żadnych środków do życia. Ale pan N. dobrym być musiał kolegą i umiał pozyskać serca ludzkie. Towarzysze nieboszczyka, dowiedziawszy się o smutnym losie pozostałej po nim rodziny, postanowili zaopiekować się wdową i jej dziećmi. Nie przyszli jednak w pomoc jakimś datkiem doraznym, który mógłby odpędzić naglące potrzeby, wystarczycie zresztą na parę miesięcy życia—byłby i to poczciwy uczynek, ale niezabezpieczający istnienia siedmiu osobom. Oni zrobili inaczej i dobrze

zrobili. Po odbytej naradzie i złożeniu odpowiedniej sumy, wynajęli obszerny lokal, umeblowali go według potrzeby, przeznaczając na jadalnię prywatną, której prowadzeniem zajęła się biedna wdowa. Zanimby jednak mogła uzyskać klientelę, koledzy jej męża zapisali się jako pierwsi stołownicy, opłacając należność za obiady z góry za pół roku. W ten sposób zdobyty zapas pieniężny, pozwolił nowej gospodyni zaopatrzyć się w prowiant i przyjmować większą liczbę stołowników. Zasiągnięte wiadomości, mówią, że jadalnia idzie dobrze.

Nie pięknyż czyn?

Niezaprzeczenie.

Lecz nie zaprzeczycie także, że jest zarazem — rozumny. Nie obrażono tu drażliwości uczuć, nie zmuszono do rumieńców, które wywołuje każda jałmużna; pomogli tylko w pracy — a tym szlachetnym sposobem zapewniłi wdowie i dzieciom nie wyżebrany kawałek chleba. A doprawdy, że do pewnych umiejętności należy — *umieć dać*.

Po uczynku *dobrym*, pierwsze miejsce w dzisiejszym sprawozdaniu musi znaleźć uczynek *pożyteczny*. Oto dowiadujemy się, że znana Warszawie pani Lucyna Kotarbińska, żona literata, aktora, obecnie stale przebywającego w Krakowie p. Józefa Kotarbińskiego — zamierza od Nowego Roku założyć w Krakowie szkołę malarstwa galanteryjnego dla kobiet, które sama z powodzeniem uprawia. Zadaniem tej szkoły — donosi jedno z pism — będzie wykształcenie zastępy miejscowych pracownic, któreby ozdabiały wyroby galanteryjne swojskimi motywami i widokami. W szkole będzie prowadzona nauka malowania na atlasie, na skórce, wypalanie na drzewie i t. d. Dotąd takiego przemysłu Galicya nie miała. Wyroby podobnego rodzaju sprzedawane w Krakowie i we Lwowie oraz w miejscach kąpielowych — sprowadzane są z zagranicy, wykonywane zaś lichy i bez żadnego poczucia piękna. Widzimy więc znowu jedną placówkę zajęta przez kobietę, której, krom powodzenia, wytrwania na raz obranej drodze — życzymy szczerze.

Ale...

— Pan miałeś powiedzieć coś jeszcze.  
— O wracających czasach popielowych.  
— I nieodłącznych z nimi myszach.  
— A naturalnie.  
— Ciekawa powieść?  
— Wiem tylko, że smutna prawda.  
— Czy zjadły kogo?  
— Jeżeli nie *kogo*, to *co*. Oto w południowych guberniach państwa, według wiadomości gazet russkich, pojawiła się tak niezliczona ilość myszy, że trudnem byłoby to do uwierzenia, gdyby tej wiadomości nie podawał urzędowy dziennik. Wsie, pola i drogi wszystkie mają być zupełnie pokryte temi gryzoniami, koty zaś tak już oswoiły się z ich widokiem, że obojętnie patrzą na niemiawistne sobie te plemię mysie. Zkąd ich taka moc się nabrała — wiedzieć trudno, przynajmniej dotąd nie wiedzą, ale że ta armia potrzebuje jeść, jak każde inne stworzenie boże, więc okrutne spustoszenia czyni. Rekoniesanse jej, nie należące do zbyt przyjemnych dnia wypadków, nawiedzają masami całemi śpięchlerze i śpiżarnie i co tylko skrętnie ręce gospodarza w ciągu dnia schowają, to one w ciągu jednej nocy po rycersku spalają. Odwiedziny te jednak, bardzo często kończą się wizytami, pod czas których, nieproszeni goście wchodzą do salonów i od razu dopominają się o śniadanie lub podwieczorek. A gusta niewybredne mają, jedzą wszystko, co tylko na ząbek im wpadnie: świece, książki, obuwie, odzież i meble, choćby miękkim aksamitem kryte. Wymówienie im praw gościnności, nie wzrusza ich wcale. Zostają na noc, korzystają z pierwszego lepszego sprzętu. Ludzie, udający się na spoczynek, wysuwają łóżko na środek pokoju i otaczają je naczyniami wypełnionymi wodą, bo, jak widać, nie zgasła jeszcze wśród tego rodu mysiego tradycja popielowa, i w braku ostrożności ze strony śpiących, cienkie, ostre swoje ząbki zapuszczają w ciała śpiących i gryzą niemłosiernie. Zboże wszędzie zjedzone, a jakkolwiek właścianie tysiącami ich mordują, falanga ta nie zmniejsza się wcale, lecz prowadzi dalej okrutne dzieło zniszczenia. Rabusie ci nie zadawalniają się prostym rabunkiem,

lecz i w napady się bawią. Pewna gromada właścian znajdująca się w podróży, zatrzymała się w polu na nocleg, ale zaledwie ludzie ułożyli się na ziemi i na wozach, opadły ich takie zastępy tych wrogów, wążąc pod kożuchy, w buty i pod bieliznę, że biedni ludziska wyrzekli się noclegu i zmuszeni byli jechać dalej.

Niechże nam mówią teraz, że podanie o myszej wieży jest bajką!

Dziwnie się bo plecie

Na tym bożym świecie,

A ktoby cbiał wszystkiego rozumem dochodzić,  
I umrze i nie będzie umiał w to ugodzić.

Bo jak tu rozumowi dojść celu w dziwactwie, które wypłynąć ma do nas z wyższych sfer towarzyskich? jak tu ugodzić w rzecz jakąś dziwnie pustą, która — zrodziła się chyba z nudów, z nadmiaru dostatków, z jakiejś gdzieś próżni?

— O czym to pan chcesz mówić?

— O czym? a ja wiem o czym? Jest to coś, co dotąd nazwiska niema, jakiś potworek z upośledzonego małżeństwa urodzony: z głupstwa i przesytu.

— Ale cóż to jest takiego?

— Jak dotąd — to tylko projekt.

— Powiedz pan więc o projekcie.

— Niech pani wierzy, że własnymi słowy nie potrafię tego uczynić, niech mnie tym razem wyręczą słowa dziennika, z którego tę wiadomość poczerpnąłem.

— Nie marudź pan i nie nadużywaj mojej cierpliwości.

— Zwróć pani uwagę na cośmy się zdobyli na koniec. Narzekano wciąż na lichą pomysłowość naszą, na naturę małpią czy papuzią, naśladowającą bezmyślnie zagranicę, na jakieś lenistwo duchowe, niedozwalające nam nic stworzyć oryginalnego i żadną myślą samodzielną przed szerokim światem pochwalić się. Zdobywali się już na oświecenie miasta elektrycznością, na salę koncertową, nawet na bulwary nad Wisłą — ale to wszystko nie byłoby, ściśle biorąc, nasze; — bo elektryczność nie zupełnie jest obcą zagranicy, słyszano też tam cokolwiek o salach koncertowych a bulwary po nad brzegami rzek, już od czasu Sardanapala znane są światu. Nie — to nie elektryczność, nie sala, nie bazar nawet; — to — projekt, który jeżeli ucieleśnić się potrafi, będzie patentowanym wynalazkiem syreniego grodu. Oto, gronko sportmanów zamierza w przyszłym sezonie wyścigowym wyznaczyć specjalną nagrodę panów dla biegu, w którym będą brały udział damy, bez dopuszczenia dżokejów — czyli według słów fachowca: „sport-ladies”. Oto jeden z warunków:

„Nagroda panów” przedmiot honorowy dla koni wszystkich krajów bez różnicy lat, dosiadanych przez damy. Dystans 1 wiorsta”.

I co ty, zagranico, powiesz na to? a wy co powiecie portmonetki panów totalizatorowiczów?...

Oj, będzie to, będzie — awantura.

No — ale zawsze nasze!...

Bo, proszę państwa, czy to nam brakuje pieniędzy na nagrody dla dam? Mamy ich tyle, że sami nie wiemy, co robić z niemi, radzi nie radzi musimy się nawet w karty zgrywać, i to — panie — ucziwie się zgrywać, nie tak jak jakiś Filister, rubla, a dwa — to najwyżej... My, panie — nie! Sto, dwakroć — i to, panie, w chwili, w którejby się nikt po nas tego nie spodziewał. Tak, tak, mój Protazeńku!

??

## Kobiety w życiu Danta.

(Dokończenie).

Wśród wszystkich trudów i znojów przez które poeta ma odkupić duszę swoją, wśród okropności piekła i oczyszczających płomieni czyszcza, imię Beatriczy, którego przewodnik jego Virgiliusz używa jako zaklęcia złych mocy, wiedzie Danta, niezachwianego ani na chwilę w miłości swej wiernej, a gdy przychodzi moment w którym poznaje, że między nim a ukochaną znajduje się rzeka ognista, zanurza się mężnie w fale płomieni, nie lękając się boleści, nie cofając się przed żadną męką. Nareszcie przedmiot jego wiernej miłości ukazuje mu się na rydwanie z mgły i blasków, ciągniętym przez grytów skrzydlatych, a moment ten który uznaje za najwyższe uszczęśliwienie, ubłogosławienie jego istoty, przemienia się naraz w boleść najokrutniejszą i wstyd jego nicości; małość jego przygniata go pognębiająco, a ona wylewa na niego w słowach gorczy pełnych swój gniew i wykazując mu jak niskim był szlak jego drogi aż do tej chwili nowego życia, w której zstąpiła na niego łaska boża, światłość niebieska wiodąca go wskroś przestrzeni ciemności. A jakże nędznie utracił on to wszystko! ukochana dziewica wypowiada mu surowo jego małość, jego nicość, a on stoi przed nią z pochyloną głową „jak dziecko, które łaje matkę” i okrutne wyrzuty jego nicości tak oblegają nieszczęsnego, że pada u stóp jej bez zmysłów. Ale fale rzeki Lety toczą ku niemu wody swoje i oto on oczyszczony w nich odzyskuje zwolna siły i na koniec zdolnym jest znieść widok cudnego oblicza ukochanej dziewicy.

Od tej chwili Beatricza staje się dlań istotą nadziemską, która go wiedzie dalej, a dalej, tam gdzie zająć jest mu przeznaczono; od bram czyszcza staje się ona łaskawą, dobrą kierowniczką jego kroków i niewypowiedzianie łagodna, tkliwa w wyrazie każdym, prowadzi go do progów Raju, a jest ona teraz istotą przeobstwoną, nieskończenie wyższą od tej wdzięcznej dziewicy ziemskiej, którą poeta ubóstwiał w harmonijnych rymach *Vita Nuova*. Potęgą swego promienistego wzroku wiedzie go ona coraz dalej, dalej i wyżej, usuwając przeszkody, jakie mu grożą zatamowaniem szlaku jego drogi i podtrzymuje, podnosi siły jego ducha z tkliwością i miłością, wyniesioną po nad wszelkie uczucia ziemskiej namiętności.

Nakoniec zatrzymują się przed różą mistyczną, aniołowie ulatują po nad nią jakoby pszczoły złociste i poeta uczuwa nagle, iż stanął na miejscu swego przezuaczenia, znajduje się obok Ś-go Bernarda i widzi ubóstwioną swą kochankę w pośród niewiast świętych, patrzącą na niego tkliwie. Wzrok jej sływa ku niemu miłosny a czysty jak aniołów niebieskich i widzi on w nim obietnicę wiecznej niezmienności uczuć jej dla niego, więc radość tkliwa i wdzięczności pełna przenika mu serce, a odbłask tego stanu wypromienia się w jego pełnych poezji rymach.

Uszanowanie kobiety, którem natchnęła Danta jego idealna miłość dla Beatriczy, odbija się we wszystkich jego utworach. Wyjąwszy pierwszego cyklu *Boskiej Komedji*, w którym przedstawia kilka kobiet straconych ze sfer nieba górnych w otchłanie piekła, a to: fałszywą prorokinię Manto, od której imienia pochodzi nazwa rodzinnego miasta Virgiliusza, Mantua, nigdy nie zanurza ducha kobiety w ciemnościach zupełnych nocy wiecznej. Jeden z takich epizodów w „Inferno”, historia losów Franceski i Paulo, jest traktowana z taką tkliwością, z takim wzruszającym patosem, że postacie te odbijają od czarnego tła piekielnej jaski luną świetlaną, która je opromienia i jakoby uaniela — odgranicza od tłumy potępieńców. Angielski komentator, Carille, pisze, też, że „kobiety Danta tworzą jakoby tęczę jasną na tle ciemności i są tonem łagodnie wdzięcznym wśród jęków i zgrzytań boleści.”

W całej literaturze powszechnej trudno jest znaleźć silniej wzruszający patos przy prostocie obrazów z efektami jakoby łamiących się światła i cieni. Torturą duchów straconych tu jest nigdy nieustający wicher, który unosi pokutujących gdzieś w dół bez końca, jak namiętność rozgorzała w piersi człowieka, której nie powstrzymać nie zdoła i której jest też to karą. Duchy nieszczęśliwych kochanków są przecież spokojnie zrezygnowane i w patetycznej boleści swojej przyjmują wyrok losu bez jęków, bez bluźnierstw; duch kobiety znosi tak jak duch mężczyzny pokutę swoją, czy nie dla tego, że ją spełniają razem? Przecież ten okrutny wicher, który im nie daje spocząć ani na chwile i pędzi wciąż dalej a dalej dusze, złagczone karę jedną a przecież rozdzielone ze sobą na wieczność, to męczarnia najsroższa i gorzkie lzy płyną cicho z oczu tak pokutnicy, jak pokutnika.

Fakta rzeczywiste tej okrutnej tragedii miłości nie zawierają żadnych wypadków szczególnych. Francesca, piękna, młodzianka córka Gwidona da Palanto, została wydana za mąż pod nakazem woli rodziców za Lanciotta Malate, pana na Rimini, którego brat młodszy kochał ją miłością gorącą i odwzajemnianą, gdy przecież mąż zazdrośny dociekł naraz tajemnicy, zamordował oboje w uamiętnem uniesieniu boleści i zazdrości. Francesca opowiada w piekle już historią tragedii życia swego, która obecnie staje się dla niej jakoby obrazem na odpływającej już chmurze odbitym, bo duchem teraz już jest — duchem, który pozostawił daleko po za sobą radości i boleści życia na ziemi. Poeta każe przecież duchowi temu wrócić po za siebie, sięgnąć w przeszłość, a on posłuszny czyni to, ziemską istotę swoją nazywa obójnie „bella persona.“ Pokochała ona, ta bella, bo serca ludzkie potrzebują podziału uczuć, pokochała i kochaną była również, lecz tak on, jak ona, nie odgadywali długo tajemnicy uczuć swoich; nosząc już w piersi miłość, marzyli o przyjaźni, aż chwila jedna zburzyła ten gmach złudzeń, którym zasłaniać sobie pragnęli nieszczęście i winę.

Raz siedzieli sami we dwoje i czytali razem z książki jednej historią miłości Lancelota, aż naraz oczy ich się spotkały — spotkały się i usta. „Tego dnia nie czytaliśmy już więcej“ mówi Francesca... a dodać trzeba, że nie czytali już nigdy ze sobą, bo stanęła teraz między niemi zemsta obrażonego męża, który dotknięty boleśnie w uczuciu swego serca i zarazem godności rodu, imienia swego, nie przebacza i ona staje się teraz nieszczęśliwą — nieszczęśliwą ciężko, okrutnie. Dante nie podał żadnych dalszych życia jej szczegółów, geniusz jego zostawił wyobraźni czytelników pole wolne, na którym przedstawiali by sobie życie kobiety, obranej ze wszystkich uroków i poeich życia, z bólem w sercu i skazą na imieniu, której sumienie nie może być spokojne, której wzrok spuszcza się ku ziemi w obec każdej dostojnej matki rodziny, która może powiedzieć śmiało z czołem podniesionem: — Dotrwałam w obowiązku i nie zламаłam przysięgi, nie odejdę też od pracy życia bez planu zasługi, bez zapłaty, którą uczciwemu człowiekowi daje uczucie czyste sumienia.

M. I.

# BEZ WOLI

POWIEŚĆ

przez

WANDE GROT. BĘCZKOWSKĄ

(Dalszy ciąg).

Na ulicy, ujęły się pod ręce. Lora, była blada i wzburzona. Milcząc, doszły do Ogrodu Saskiego. Lora ocknęła się.

— Wandziu,— spytała ciężko wzdychając— jak ty możesz tam wytrzymać? To jest okropne, okropne!— szeptała tłumiąc łkanie. Wanda czuła jak ręka jej drży...

— Widzisz niedobra, czy nie miałam racji gniewać się żeś po mnie przysłała? gderła na siostrę. Denerwujesz się bez żadnej potrzeby Lorcii droga. A to doprawdy, sensu niema — Cóż tam zobaczyła nadzwyczajnego? Fabryka, jak każde inne...

Lora, zwolniła kroku.

— Wandziu,— mówi szeptem prawie — nie przypuszczałam, aby nieszczęście nasze było tak wielkie... Wcale, wcale nie przypuszczałam.

Wanda, uśmiechnęła się smętnie.

— Nie dręcz— że się urojeniami Lorcii— rzekła poważnie. Nieszczęście nasze jest istotnie wielkie, ale tylko ze względu na chorobę ojca, która, o ile mi się zdaje, należy do nieuleczalnych. Wielkie jest, bo i twoje zdrowie, dużo pozostawia do życzenia. Ten ciągły kaszel, przeraża mnie...

Chciała, jak najspieszniej w umyśle Lorcii zatrześć odebrane w fabryce wrażenie, ale Lorka zgnębiona wciąż do tego przedmiotu wracała.

W bocznej alei siadły odpocząć. Spokojny wieczór letni zbliżał się powoli, drzewa szemrały łagodnie... Przyroda tętnęła spokojem, kołysząc dusze do marzeń słodkich raczej, do zapomnienia o tem co boli...

Lora, bezwiednie poddała się dobroczynnemu temu wpływowi, i wzburzony jej umysł, zwolna uspokajając się zaczął. Rozjaśniła się piękna twarzyczka dziewczęcia, w oczach wyraz niezłomnego postanowienia zabłysnął. I ona czuła się dotąd nieszczęśliwą. A czyż jej poświęcenie nie jest właśnie szczęściem? Czy nie uwolni ono Wandy od upokorzeń, rodziców od nędzy, czy nie zapewni ukochanej babce, spokojnego na starość kąta, Jurkowi— kalece, nie wyrówna choć w części trudnej ścieżki życia? O, teraz dopiero czuje, że jej ofiara, nie będzie ofiarą; teraz dopiero buntujące się myśli okiełznać potrafi. Obraz hrabiego, który w parę dni po powrocie z zagranicy, wyjechał do siebie na wieś, aby wydać rozporządzenie do upiększenia pałacu na przybycie młodej małżonki, przywołany myślą obecnie, nie sprawił już jej wstrętu. Postanowiła być dla niego dobrą skoro przez niego ona sama osiągnie najwyższe dobro: możność uczynienia tych których kocha—szczęśliwymi.

Wanda, nie przerywała zamyślenia siostry. Cichy wieczór letni i na nią podziałął rozmarzając. Jak zwykle, gdy miała chwilę wolnego czasu, myśl do Kamieniec pobiegła. O tej porze bywało najwięcej zajęcia. Nie mieli gospodyni, bo Woźnisia wysługiwała już emeryturę u siebie w pokoju, więc Wanda biegła z dziewczkami do obór, a wracając, spotykała Borzyckiego na stopniach ganku. Nie zastanawiając się nad tem, czy to umyślne lub przypadkowe, czuła zawsze wtedy, uczucie pewnego zakłopotania, nie bez przyjemności jednak jaką jej widok Borzyckiego sprawiał.

Myśląc o tem, westchnęła. Borzycki, od przyjazdu matki, był ledwo parę razy i zawsze na krótko. Coś w tem było. Tłómaczył się niezręcznie, a wybierał takie godziny w których wiedział, że matki nie zastanie. Muszę pomówić o tem z babunią pomyślała i nagle myślą ożywioną powstała z ławki.— Pójdźmy, najdroższa— rzekła— patrząc z przyjemnością na rozjaśnioną twarz siostry. — Babunia czekać będzie z herbatą, a ja mam jeszcze trochę roboty na jutro.

Pobiegły szybko. Przy wyjściu na Żabią, najniespodziewaniej, zeszły się z Borzyckim.

— Witam, witam, wołał serdecznie, ściskając rączki obu panienek i wzrokiem szczerego, braterskiego niemal uczucia, przyglądając się Lorce.— Jakże się pani zmieniła! Nigdybym nie poznał... Zawrócili do ogrodu i na najbliższej ławce usiedli.

— Wieczór taki śliczny!.. mówił ożywiony. Pod moją opieką jesteście panie bezpieczne. Czy tak, panno Wando? — Zwrócił na nią rozpromienione spojrzenie.

Wanda się uśmiechnęła.

— Oczywiście, że tak! Ale babunia, zagniewana jest na pana, rzekła spuszczać szybko oczy przed wzrokiem Michała. — Byliśmy już niepokojni a i mama wielokrotnie pytała o pana?

Dlaczego ręka Lorcii na jej ramieniu oparta, tak mocno drgnęła?

Wanda spojrzała na siostrę. Twarz Lory była bardzo blada... usta drżały... oczy patrzyły dziwnie, inaczej jakoś jak przed chwilą.

— Widzisz, niedobre dziecko — szepnęła z trwogą — Zmęczylaś się, zirytowałaś niepotrzebnie, a ja teraz wyrzucam sobie, że na to pozwoliła. Nie możesz teraz iść piechotą... Pojedziemy.

Borzycki zwrócił się ku Lorce.

— Istotnie — mówi przyglądając jej się bacznie — niedobrze pani wygląda. Widać zmęczenie. Pani zapewne nie przyzwyczajona do takich dalekich kursów? My z panną Wandą—mimowoli imię jej wracało mu ciągle na usta—nauczyliśmy się szybko chodzić jeszcze w Kamieńcach. Zerwał się z ławki.— Służę pani— rzekł — podając ramię Lorce. — Na placu przed bankiem, znajdziemy dorożkę i będę miał przyjemność odwieźć panie do domu.

Lora zawałała się, po bladej twarzy przemknął uśmiech dziwny, którego znaczenia ani Michał ani Wanda z pewnością by nie odgadnęli.

— Nie jestem znów tak bardzo zmęczona jak się państwu zdaje— rzekła. — Pomoc Wandzi mi wystarczy i— możemy nawet pójść spacerem.

Ale Borzycki nie ustąpił.

— Mam niejakię prawa, panno Loro — mówi uśmiechając się.— Pamięta pani, jakich to figielków bywałem nieraz przedmiotem? Jakaś grywali w piłkę za mostem? A kto panią woził na arabezku mamy?

Poczytliwy uśmiech rozjaśnił zgnękaną twarz Lory. — Dobrze już dobrze— odpięła słodko i wsuwa rękę pod ramię Michała.

Wanda poszła naprzód. Michał, jakkolwiek z wykwinutą grzecznością, zwracał uwagę na każde poruszenie Lory, nie mniej wzrok jego ściagał Wandę, a ręka znalazła się zawsze gotową, ilekroć przed brutalnym potrącaniem będącym u nas w modzie—potrzeba ją było osłonić. Przed bankiem wsiedli do dorożki.

Lorcii ożywiła się... Patrząc na siedzącego przed sobą Michała, opowiadała wesołe anegdotki z podróży i—szybciej, aniżeli by chcieli, znaleźli się przed mieszkaniem Kamienieckich na Lesznie.

Przed drzwiami apartamentów młodszej p. Kamienieckiej, Lora się zatrzymała.

— Idę do siebie Wandziu— rzekła. Z zapraszającym gestem, zwróciła się do Borzyckiego.— Może pan zechce powitać mamę?— pyta, a wielkie jej oczy z dziwnym natężeniem patrzą na niego.

— Owszem; poczytuję to sobie jako miłą powinność... W każdym razie, powitam w pierw babunię i za male pół godzinki zjawię się...

— Więc do widzenia!— Lora pobiegła do swego pokoju i zamknęła drzwi na klucz. Zrzuciła okrywkę i otworzyła okno. — Ach, powietrza, powietrza... — szeptała, przyciskając dłoń do piersi. — Wszędzie go mało... zawsze mi go brak!.. Zamiast orzeźwiającego, chłodnego powiewu, z ulicy wionął na nią żar...

Zawiesiła wzrok na zakurzonych wierzchołkach drzew, które stały opodal nieruchome. Najbliższy wietrzyk, nie poruszał ich liści.

— Duszno... — szepnęła ze skargą, chcąc stłumić krótki, suchy kaszel, który się jej z chorej piersi wydierał. Potem wpadła w zadumę. Więc zobaczyła go nareszcie! Tak starannie unikała dotąd spotkania...

Jakże jej się pięknym wydał. Głęboka powaga leżała na wyniosłym czole, jak marmur białym a oczy tak słodko patrzyły... O, poznałaby go wśród tysiąca!

Ostatni raz widzieli go w Krakowie. Występowała tego wieczora właśnie w żywych obrazach i już ubrana, jako wiosna, którą przedstawiać miała, cała w obłokach przejrzystej illuzji, pierwiosnków i konwalii, przybiegła mu się pokazać.

Jakże dokładnie chwilę tę pamięta! Borzycki długo jej się przyglądał, a potem rzekł miękko, tak jak nigdy nie mówił jeszcze do niej:

„Symbolem wiosny, jest świeżość i dziewczość... Pamiętaj panno Lorciu, aby twa młodociana dusza, świeżość swoją kryształową, zachowała jak najdłużej...“

I nie więcej, a jednak to tak wiele!

Słowa te, aż dotąd towarzyszyły jej wiernie. Nie analizując natury tej sympatii, jaką dla niego czuła, poddała się jej bezwiednie i—rzecz dziwna, nikt już z tyłu starających się o to mężczyzn, serce jej zdobyć nie potrafił. Rzecz dziwna, bo serce to było młode, dziecinne prawie i, świadome, że kochać będzie, nie kochane.

Pamięć, bezlitośnie przywodzi nieraz wspomnienia takie, któreby się głęboko zagrzebać chciało... Jeżeli jeszcze coś dziecinna wyobraźnię uderzy o pamięta się wówczas długo... długo! Ona miała takie wspomnienia!

Au! się spostrzegła, kiedy pół godziny minęło i dźwięk dzwonka doleciał do jej uszu. Zerwała się. Poprawiła włosy, nakazała sercu mileczenie a ustom wesołość i do salonu poszła. Śpieszyła się... Coś ją ciągnęło aby powitanie matki z Borzyckim zobaczyć. Uchyliła portyerę, gdy w drzwiach przeciwnych ujrzała matkę. Ale cóż to jest? Wydała jej się dziwnie zmienioną. Młodsza, nieledwie piękna. Suknia kremowa, lekko haftowana w bukiety bzu liliowego, włosy zaczesane nisko, przewiązane wstążką. Lila.. Ależ doprawdy! ona już gdzieś widziała matkę w tej sukni i czarne, wielkie oczy, jak gwiazdy błyszczące z takim samym patrzyły wyrazem.

Zdumiona, zakłopotana czegoś, wysunęła się z portyery i podeszła ku matce.

Jednocześnie wszedł i Michał do salonu i ze swobodą dobrze wychowanego mężczyzny, który nie pamięta, gdy pamiętać nie chce... powitał panią Lilę.

Wymienili kilka obowiązkowych komplementów i Borzycki zwrócił się do Lory.

— Czy pani już wyczęła?—pyta troskliwie. — P. Wanda lęka się o panią i czyni sobie wyrzuty, że nie jest dość uważną.

— Wandeczka lubi rozpieszcać—odparła Lora z uśmiechem.—Zmęczenie przeminęło i jest mi dobrze zupełnie.

Lila nśmiechnęła się kwaskowato.

— Wanda jest do niemożliwości egzaltowaną i przesadzoną—rzekła. — Zamęcza Lorcie i ojca swoją troskliwością. Dziękuję Bogu, że zdrowie moje, uwalnia mnie od jej starań—dodała żartobliwie niby. — Musiałeś i pan zauważyć to w Wandzie, panie Borzycki?—zamagnetyzowała go oczami, ale nie zwracała na to uwagi.

Zmarszczka przecięła mu czoło i krótko odparł: — Nie zauważyłem nic, łaskawa pani. Czy p. Kamieniecki jest w domu? Dość dawno nie widzieliśmy się—dodał, zmieniając rozmowę.

Lila dolną wargę przycięła zębami, Lorka spojrziała na Michała z wdzięcznością.

— Staś niedomaga—rzekła, podnosząc dumnie głowę.—Położył się już od paru godzin.

— O, to ja pójdę do papy — zawołała Lorka żywo.

Matka zatrzymała ją.

— Zostań, kochanie, ojciec zasnął trochę i lepiej będzie nie przerywać mu spoczynku. Nie zastałam nic wesołego po powrocie do kraju — zaczęła miękim, słodkim głosem, którym czarowała dawniej.—Kamieniec zmarnowane; zdrowie męża poważne budzi obawy... Wanda, na punkcie samodzielności, czy emancypacji. bo tych szumnych wyrażań przyswoiła już sobie słownik cały, kompletnie zwaryowana.

Borzycki mileczał. Zmarszczka na czole rysowała się jeszcze wyraźniej... Z wytworną grzecznością, zwrócił się jednak do Lili.

— Panna Wanda, o ile miałem sposobność ocenić, w Kamieńcach—samodzielnością swoją i praktycznością, dopomagała nam prawie po mężku, nie licząc się z niewygodą i nieprzyjemnościami, jakich dzień każdy przynosił nam nie mało. Ciężkie to było życie, łaskawa pani—dodał z westchnieniem.

Lora zażawione oczy podniosła na mówiącego.

— A ja, takie próżniacze życie wiodłam wtedy—szepnęła jakby do siebie. — Gorzko to sobie wyrzucam...

— Zbytecznie—odparła, tłumiąc gniew Lila. — Uczylaś się i próżnowałaś o tyle, o ile panny w sferze naszej próżnują.

Lorka poznała, że matka jest wzburzona. Zerwała się szybko i podając album Borzyckiemu, zwróciła na inny przedmiot rozmowę.

Po upływie godziny, Borzycki wstał i żegnać się zaczął.

— Prosiemy pamiętać o nas—mówiła Lila, podając mu rękę. Była znowu słodką i widok Michała, obudził cały szereg wspomnień.

Co by ona oddała za to, aby sielanka powtórzyła się jeszcze!...

Michał odszedł. Lila, przypominała każde jego słowo i spojrzenie, dopatrując się czegoś, co by przypuszczać kazalo, że nie zapominał...

Lorka, jak ptaszę zranione, tuliła głowę do poduszki tłumiąc kaszel i łkanie.

## VII.

Deszcz padał od rana. Brudne, przystrzępione szmaty chmur, opuściły się nisko nad ziemią, nie oblicując ani jednego promyka słońca, któreby smutny dzień rozjaśniło.

Lora, niezmiernie na zmiany atmosferyczne wrażliwa, czuła się bardzo osłabioną.

Leżała w swoim pokoju na szezlongu z twarzą w dłoniach ukrytą. Była samą ze smutkiem swoim i goryczą, która przepelniała jej serce.

Na toalecie, porzucone niedbale kwiaty, przypominały jej, że hrabia powrócił i dni swobody złotej skończyły się...

W ciągu tych kilku tygodni nieobecności narzeczonego zapomniała prawie: że rozporządziła już swą przyszłością i nie od niej spodziewać się dla siebie nie może.

Za to teraz, będzie go już miała zawsze przy sobie niedostępnego jak cień, mrozącego ją swoim oddechem, czułościami, których znieść nie mogła.

Gdy patrzyła na upokorzenie siostry, pracującej z całym zaparciem się swego dawnego „ja“ na trudy babki sądziwej, która przy pomocy jednej służącej, całym domem się zajmowała, na znękanego ojca i przyszłość bez jutra, milkły chwilowo osobiste jej bóle i smutki.

Dla nich, o! dla nich, gotowa była na wszystko. Łatwo to jednak powiedzieć sobie: dla tych, których kocham, poświęcę siebie i to mi wystarczy powinno... Ale zmusić serce, by się z prawami swemi nie odzywało... zadać gwałt, całej swojej istocie z tem przeświadczeniem, że śmierć jedynie zmianę sprowadzić może...

Wątle siły młodej dziewczyny ugiwały się nieledwie, pod ciężarem narzuconego sobie siłą wypadków poświęcenia i coraz częściej cisnął się na usta hołesny wykrzyk: Czemu? dla czego?

Czy sprawiedliwym jest i słusznym, aby ona, całą zwichniętą przyszłością swoją, płaciła niekonsekwencye ojca, wybryki szalonej matki?... Nie chciała zastanawiać się nad tem; poczucie krzywdy istniało przecież i—mimowoli, bezwiednie prawie, nurtowało jej umysł.

Leżąc teraz samotna, z dojmującym bólem w boku i duszeniem w piersiach, z bolącą głową i rozpalonemi rękami, kryła twarz w poduszki kanapy z dziecinna niemal trwogą, aby nie widzieć rozplakanego nieba, nie słyszeć kropli spadającego monotonna deszczu.

I trzeba, że dziś właśnie przyszła na nią jedna z chwil takich, kiedy ogarniała ją rozpacz i szalona chęć ucieczki gdzieś na kraj świata, byle jak najdalej od tego, który przejmował ją niepokonanym wstrętem i od myśli smutnych tłoczących się jedne za drugimi bezkarnie, bo wola osłabła i zmęczone ciało, poddawały się bez oporu.

Z chaosu tego, wyłoniła się jaskrawo myśl jedna, wspomnienie cięższe od innych i ból, chyba już najśrodszy, jaki serce dziecka dotknąć może. Ból, ledwo tłumionej niechęci dla matki i—innego jeszcze uczucia, którego sama przed sobą nazwać nie śmiała.

Czemu ona tak wczesnie zaczęła zastanawiać się? To, co dla innych dzieci przeszło niepostrzeżenie, ona, widziała, czuła, pojmowała i w mło-

dem sercu gromadziło się tyle bólu, goryczy tyle!...

O, gdyby tym matkom, które z uśmiechem na ustach, z pragnieniem wrażeń, jakie częstokroć, jedyną podstawę ich błędu stanowią rzucają się w wir zabronionych uciech i lekkich miłości, danem było zajrzeć raz jeden tylko w serce dziecka, gdy dziecko to wyrośnie już na kobietę, nauczy się czuć i myśleć!...

Mniej byłoby z pewnością i matek zbłąkanych i nieszczęśliwych córek, które albo idą lekko drogą występku przykładem popechnięte, albo noszą w sercu ból nad bóle, piekący jak żelazo rozpalone, rumieńcem upokorzenia oblewając czoło.

Deszcz padał ciągle: w pokoju wilgoć i chłód czuć się dawał.

Lora uniosła się z kanapki i spojrziała na zegarek. Samotność zaczęła jej ciężyc. Wanda była w fabryce, babka zajęta; matka robiła przegląd szlafroczków, matinek, sukien i rozmaitych fatalaszków, które całymi pudłami przywiozła z zagranicy i pokazywała teraz szwaczce. Tu trzeba było coś dodać, tamto przerobić... Zajęcie to pochłonęło ją zupełnie i nie uważała nawet, że mąż wychodząc na miasto dziwnie wyglądał i po nocy gorączkowo spędzonej, przy śniadaniu, którego nie tknął prawie, wzrok miał niespokojny, zaczynał rozmowę i nie kończył, przeskakując z przedmiotu na przedmiot, bez sensu, bez uwagi, prawie nie wiedząc co robi.

Hrabia,—zapowiedział wizytę na godzinę piątą wieczorem. Strudzony daleką podróżą, długo odpoczywać musiał. Wiek, nie zapominał o swoich prawach.

Lorka, nie widziała dziś ojca. Ranny swój posiłek: mleko z koniakiem, podała jej służąca, jeszcze do łóżka. Wanda, wpadła na chwilę idąc do fabryki. Zdawało jej się, że Lorcja bardzo źle wygląda i uciekła szybko, kryjąc łzy.

— Co ja będę robić?—szepnęła Lorka, oglądając się z rozpaczą po pustym pokoju. — Sama nie wiem, co mi jest dzisiaj...

Po namyśle, zadzwoniła.

— Poproś panieca aby przyszedł do mnie — rozkazała służącej.

Jurek, przybiegł natychmiast. — Co tam robisz kochanie?—pyta całując go Lora.

— Rysuję siostrzyczko.

— To dobrze. Będziemy rysowali razem.—posunęła stolik ku oknu, Jurek pobiegł po rysunki. W kwadrans potem, siedzieli już oboje, pochyleni nad wzorkami.

— Jurku, bądź — że uważym! — zawołała po chwili Lorka. — Zepsuteś cały rysunek głowy. Patrz, jak ta linia krzywo narysowana... — poprawiała go ciągle.

— Ale bo...—Jerzy spuścił oczy i zamilkł. Machinalnie ją przerzucił wzorki, gryzł ołówek i widocznym było, że myśli jego błądzą gdzieindziej. Lorka spojrziała na niego bacznie.

— Powiedz—no mi Jurku, co się z tobą stało?—pyta, — podnosząc delikatnie spuszczoną głowę chłopca i zaglądając mu w oczy. — Byłeś zawsze taki uważny, pracowity... Wandzia bardzo cię chwaliła... Tymczasem, teraz, sprawiasz jej podobno kłopot niemały. Może chory jesteś? Mów Jurku, a szczerze, — pocałowała go; w oczach chłopca stanęły wielkie łzy.

— Nie mi nie jest...—szepnął tuląc się do niej.

A jednakże, zwróciło to uwagę wszystkich, że Jurek, od przyjazdu matki, dziwnie się zmienił. Nie slychać już było wybuchów szczerego śmiechu i wojennych okrzyków, stracił ochotę do figlów a co ważniejsza—nauka nie szła mu jakoś...

Nieśmiały aż do dzikości, chował się teraz najczęściej po kątach, szczególnie, gdy matka wchodziła do pokoju.

Trzeba go było gwałtem prawie popychać, aby przywitał ją, zapytał o co, lub podziękował, przy obiedzie, gdyby nie ustawiczna pamięć Wandy był-by z pewnością nie nie jadł, bo oczy miał zawsze spuszczone i głowę pochyloną, jak to nie raz, upartym dzieciom się zdarza.

— Jakież to dziecko niezdolne...—mówiła Lila do męża,—Ładnieście go wychowali! Nie dość—że brzydota jego wstręt budzi, jeszcze i przymioty piękne do niej łączy...

Stanisław, jak to coraz częściej zdarzało się teraz, nie odpowiadał żonie. Poprzestawał na wzruszeniu ramion i niepodobna było odgadnąć czy słyszał i rozumiał, co do niego mówią.

W umyśle Jurka, który dotąd łagodny był i uległy, przetrwały się myśli, gorzkiej, sceptycznej natury, ku czemu, za pierwszy powód posłużył bezlitosny wykrzyknik matki.

Dziecko, instynktownie odczuło wstręt, jaki w rodzicielce swej rozbudziło. Złośliwość ludzi śmiejących się z niego jawnie, nie dokuczala mu. Wszak Wandzia powtarzała zawsze że „ten jest pięknym prawdziwie kto dobrym jest i szlachetnym“... A dobrym i szlachetnym, może być każdy kto chce... Nie potrzeba do tego ani kształtnego nosa, ani rysów regularnych i Jerzy, wstuchany nieraz w pocziwe słowa siostry, marzył już tylko o tem, by stać się podobnym do takich ludzi, których piękność moralna przetrwała wieki i służyć dziś za przykład innym.

Wiadomość o przyjeździe matki, o której myślał często i tęsknił do niej, rozburzyła go i nappełniła radością.

Gorące serduszek dziecka łaknęło bezwiednie miłości matczynej, jak gdyby czuło, że miłość ta, trwała jest i wszelkie przykrości życiowe osłodzić może.

On nawet Wandzi nie przyznawał się do tego: jak często myślał o nieobecnej i tęsknił...

Z jaką radością biegł ku niej, gdy przyjechała... „Mama, moja mama.“ powtarzał sobie w myśli, i zdawało mu się, że do ramion skrzydła mu przyrośły. Jakże krótką była jego radość. Matka na jego widok, wstrętu utać nie mogła, a wykrzyknik jej, sparaliżował uczucia chłopca i — nieprzebytym murem odgradził od matki. — Gorycz wielka zalała młode serce, i w umyśle nie rozwiniętym jeszcze zasiała pierwszy zarodek niechęci do życia i zazdrości dla ludzi.

Od tej chwili, stronić zaczął od najbliższych nawet, chował się po kątach, nie chciał wychodzić na spacer, uciekał od ludzi. Nikt wszakże nie wiedział, co mu było.

Lora głęboki smutek w oczach brata zauważyła, gdy przybiegł na jej wezwanie. Roztargnienie przy lekcji rysunków, aż nadto było widoczne.

— Więc mi nie powiesz, co ci jest takiego? — pytała z naleganiem. Jurek milczał. Trudno było słowo z niego wydobyć.

Rysowali dalej; to jest, rysowała właściwie Lora, bo chłopiec zapatrzył się w okno, i zdawał się zapominać o wszystkim.

— P. Borzycki idzie do nas... — zawołał po chwili i błysk zadowolenia mignął mu w oczach, — O, widzę jak wybiera kamienie, żeby się nie zabłocić... A jaki deszcz, jaka woda!

Lora drgnęła nieznacznie; pochyliła głowę nad rysunkiem i nie odrzekła.

Otwarto drzwi z łoskotem.

— Lorcium, moja droga, — zawołała Lila w ranym jeszcze szlafroku, stając przed córką. — Borzycki przyszedł, ojca nie ma, a ja nieubrana. Tak mi zeszło z tą szwaczką... Nie wiedziałam, że już tak późno...

— Południe — odparła Lora obojętnie.

— Moja Lorcium, proszę cię, pójdz do salonu i zabaw go, póki ja się nie ubiorę...

Lila zła na siebie wybiegła szybko.

Lorka podniosła się.. W błękitnym kaszmirowym szlafrocuku, oszytym łabędzim puszkami ślicznie wyglądała.

Warkocze miała spuszczone, bo głowa ją bolała i dokuczały szpilki...

Przenikliwie oczy Jurka zatrzymały się na niej i miły wyraz głębia ich rozjaśnił.

— Bardzo ładną jesteś siostrzyczko — rzekł z przejęciem.

Lorka się rozśmiała.

— Doprawdy? Zkądże ci to przyszło mały pochlebniścu?...

Jurek zamyślił się głęboko.

— Wiesz Lorcium — mówi cichutko — i jabym chciał być ładnym. Myślę, że i mama kochała-by mnie wtedy.

Lorka bacznie spojrzała na niego.

— Co ty mówisz, Jurku? Alboż mama nie kocha cię teraz? To także myśl zabawna!

— Wiem, że nie — odparł ciszej jeszcze.

— Nie dziwacz dziecko drogie — rzekła, całując go Lora. — Pogadamy jeszcze o tem, ale nie teraz. Zajmij się szczerze pracą, to i myśli brzydkie uciekną.

Poprawiła włosy i poszła do salonu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## PRZEGLĄD TEATRALNY.

### III.

Doryna, sztuka w 3-ach aktach, Wilhelma Rovetty tłómaczona z włoskiego.

Zeszłej Soboty mieliśmy nową sztukę na scenie Rozmaitości; dawano w polskim, (nieosobliwym jak zwykle) przekładzie trzyaktowy utwór jednego z bardziej utalentowanych dramaturgów włoskich ostatniej doby.

W ciągu dosyć krótkiego czasu drugi raz spotkaliśmy się z nazwiskiem Wilhelma Rovetty na czerwonym afiszu; jego „Nieuczciwi“ (Dishonesti) nie mieli u nas powodzenia. Zanadto brutalnie targnęli nerwami widzów i słuchaczy w imię „weryzmu“, szukającego prawdy i tylko prawdy, choćby najprzykrzejszej, najsmutniejszej i najbardziej kolającej w oczy.

„Doryna“ ma mniej jaskrawy temat i mniej drażliwe sytuacje od „Nieuczciwych“, ale osnuta jest również na jednej z tych prawd, zauważonych w życiu, które tylko ujemnie świadczą o naturze i charakterach ludzkich.

Sztuka jest prawdziwą, ale przykrą i upokarzającą.

Pomysł jej ma nawet pewną oryginalność w sobie, chociaż nie powiem, aby ta oryginalność była całkiem świeżą; autor jednak w dobrej chwili zwrócił uwagę na wielce znamienne i niestety coraz wyraźniejszą cechę obniżania się moralnej skali uczuć i upodobań dzisiejszego pokolenia. Wśród rozmaitych „chorób wieku“ daje się zauważyć i ów zepsuty smak, owe niezdrowe apetyty, zacheenia, pożądania, które cechują stany anormalne cielesnego i duchowego organizmu. Rovetta zauważył to w stosunku mężczyzny do kobiety, w sferze uczuć i moralności dzisiejszej, — z tej obserwacji powstała jego „Doryna.“

Że dla mężczyzny po wszystkie wieki większem pokuszeniem bywała kobieta zepsuta i bardziej nęciła ich swojemi ujemnemi, aniżeli dodatniemi rysami, to niestety — jest siarą i znaną prawdą; że zdradzali dla nich inne uczucia, względy, obowiązki i mając do wyboru między Penelopą a Messaliną, między Lukrecją a Fryną, bardzo często tym drugim poświęcali pierwsze, to również rzecz nie nowa ani w życiu, ani w literaturze.

Ale żeby jedna i ta sama kobieta nabierała dla nich dopiero uroku, gdy się pozbyła enoty, uczciwości, czystości i dobrej sławy, aby odwracali się od niej, gdy im sama ofiarowała swe serce, swą miłość, siebie całą, świeżą i nietkniętą, jak kwiat niezerwany, a szaleli namiętnie i byli gotowi do wszelkich ofiar za jeden pocałunek, za jeden uścisk wtedy dopiero, gdy ten kwiat zoczyli... w cudzej butonierze i to nie pierwszej, — to właśnie jest obserwacją oryginalnie użytą w tragikomedii „Doryna.“

Tutaj Rovetta odnowił, urozmaicił stary motyw, odświeżył go dowcipnie i dorzucił jeden przyczynek więcej do psychologii dzisiejszego mężczyzny — i do fizjologii dzisiejszej miłości.

Jak dziewczyna albo ser dla smakoszów ze znieczulonym podniebieniem nabierają prawdziwego smaku, gdy się choćby trochę... zepsuły, tak i owa miłość kobiety nadpsutej nabiera dla pewnych indywiduów dopiero większej wartości, uroku i pojęty.

Rovetta maluje nam jaskrawy nieco, ale prawdziwy obraz takiego młodzieńca *fin de siècle'u* w osobie margrabiego de Castelfranco, który mojem zdaniem właściwszą jest figurą na bohate-

ra sztuki, aniżeli sama Doryna, przedstawiona w trzech fazach swojego życia, pomiędzy pączkiem nierozwiniętego jeszcze kwiatu a butonierą swych licznych wielbicieli.

Przypatrzmy się osnowie sztuki.

Pani Teresa Ricardi, kobieta prosta ale uczciwa, wdowa po odzwiernym hotelowym w Lugano, ma jedynaczkę, której dała wyższe wykształcenie i którą umieściła jako nauczycielkę w domu baronowej Castelfranco.

Syn pani baronowej, młody, niepełnoletni jeszcze spadkobierca arystokratycznego nazwiska i fortuny, Nicolino — w pierwszych wiosennych zapędach serca, zwraca się ku ładnej, młodziankiej i niewinnej guwernantce, ofiarowując jej swą miłość a nawet swoją rękę.

Doryna jest w nim zakochaną. — jemu się zdaje, że poza nią nie istnieją żadne więcej kobiety na świecie i wbrew projektem matki, praktycznie pojmującej życie i swoje obowiązki względem syna, odrzuca ułożone przez nią małżeństwo z panną brzydką wprawdzie, ale posiadającą dwa miliony posagu.

Kuzynek Albano, typ karyerowicza i starego kawalera, który ma dwie namiętności: do polityki i łatwych zdobyczy kobiecych, byle kasek wart był jego zębów, pośredniczy między matką a synem w roli swata; pośrednictwo to się nie udaje, młody margrabia oburzony propozycją ożenku z brzydką panną dla majątku, unosi się do tego stopnia, że w obecności Albana oświadcza się o rękę Doryny.

Jest to wybryk młodzieńczego temperamentu, łatwo zapalnego, ale nie wynik charakteru dojrzałego w panu margrabim, który już w drugim akcie odsłania swoją właściwą wartość moralną.

Skutkiem jego oświadczeń, baronowa wydała ze swego domu guwernantkę a syna posłała zagranicę, — jak się to zazwyczaj praktykuje w podobnych wypadkach, gdy chodzi o niedopuszczenie do mezaliansu.

Mieli się kochać wiecznie i wiecznie pamiętać o sobie, pomimo przymusowej rozłąki na zawsze — i ona wzięła to bardzo poważnie do serca, ale on po półrocznym pobycie w Paryżu, po trzech miesiącach w Londynie, po kilku tygodniach w Monte-Carlo, gdzie mu szczęście dziwnie nie sprzyjało, jakby na potwierdzenie znanego przysłowia, powrócił do Medyolanu wyleczony zupełnie ze swoich młodzieńczych mrzonek i gorącej miłości.

Spotyka się przypadkiem z Doryną w najcięższych i najrzykowniejszych chwilach jej życia. Biedna dziewczyna wszelkiemi siłami broni się w walce z losem, z pokuszeniami, z niedostatkiem, który ją przygniatać zaczyna, byle tylko nie upaść, byle — pozostać wierną sobie, swojej miłości i jemu.

On przecież kazał jej pamiętać o sobie, zostawił nadzieję, pozwolił się kochać i miłość zachować przyrzekł; byle doszedł do pełnoletności, byle się wyswobodził z pod despotyzmu matki!... wtedy zaprzeczy wszelkim rachubom, wszelkim przesądом, wróci i uszczęśliwi kochankę, wynagrodzi jej wierność i jej miłość, i jej zaufanie.

I wraca rzeczywiście, ale nie ten sam, zmieniony do niepoznania, znudzony, zblazowany, obojętny, zły na siebie i na los, który mu to spotkanie nadarzył.

Zastaje Dorynę w domu niejakiego maestra Constantinięgo, byłego tenora a dzisiaj nauczyciela śpiewu, (pyszna figura w swojej typowej charakterystyce!); zastaje ją w przededniu artystycznej kariery, bo właśnie w chwili, kiedy ma wejść na scenę i debiutować w operze.

Debiut ten ma ją drogo kosztować, łączy się z upokorzeniem, hańbą, upadkiem i wyzyskiem ze strony niesumiennej impresary.

— Ratuj mnie! — woła do Nicolina, — nie daj mi zginać, nie pozwól mi upaść, podaj mi rękę pomocną. Wiesz przecież, że cię kocham i że godną jeszcze jestem twojej miłości. Toż kochałeś mnie i ty tak gorąco i tak niedawno!... Chciałeś się ożenić nawet ze mną, pamiętasz?...

Ale Nicolino nie lubi takich przypomnień, one go nudzą, drażnią, w kłopot wprowadzają dzisiaj. Przecież to było szaleństwem zaślubić jakąś tam pannę Dorynę, biedną śpiewaczkę bez nazwiska, bez posagu, bez tytułu!... Nie, Nicolino dojrzał, wyrósł, otarł się w świecie, poznał kobiety, za-

kosztował życia, więc głupstwa nie myśli popełnić: ożenić się nie ożeni, ale poszle biednej dziewczynie tytułem dawnej przyjaźni 500 franków odzcpnego i nie zobaczy jej więcej.

Posela jej też rzeczywiście tę małą kwotę, którą: „po ostatniej przegranej w Montecarlo może jeszcze rozporządzać.“ (ustęp ten całkiem fałszywie został przełożony przez polskiego tłumacza skutkiem czego zatarł się bardzo subtelny rys skąpstwa Nicolina, odziedziczonego po matce); dołącza kilka obojętnych słówek i uważa swój rachunek z dawnym ideałem za skończony.

Wówczas kuzynek Albano, jak sprytny Mefisto zjawia się w samą porę, aby niewinną a ponętną Malgosię, którą Faust wzgardził, zabrać dla siebie samego — i Doryna przyjmuje jego dwuznaczną opiekę nad sobą i dalszą swoją karierą.

Do dalszej walki z losem sił zabrakło opuszczonej sierocie, matka jej umarła bowiem i zostawiła ją samą, bez rodziny, bez podpory, a źli ludzie pozabawili ostatnich środków do życia.

Kuzyn Albano wyprowadza tedy w świat swoją protegowaną, która szybko dochodzi do sławy i rozgłosu; ma talent i jest piękną, zostaje „gwiazdą“, uwielbianą, oklaskiwaną, wystawianą. — otwiera usta: ośniewa tłumy, przymyka oczy i podbija jednym spojrzeniem starych księciów i młodych oficerów, cały Medyolan, cały Rzym, całe Włochy za nią szaleją.

Z dawnej niewinnej, skromnej, prostej, szczerzej dziewczyny zrobiła się kabotynka, zmanierowana, sprytna kokietka, chimeryczka, aktorka, która gra komedię z całym światem, która nauczyła się kłamać, udawać, uwodzić i oszukiwać wszystkich.

W gronie jej satelitów kręci się teraz jak zczarowany pan margrabia Nicolino, kocha się w niej na zabój, szaleje dla niej i wścieka się z zazdrości, zaklina, błaga na kolanach niemal o jedno spojrzenie, o jeden pocałunek — ale na próżno.

W zaślepieniu swoim nie wierzy dzisiaj w jej przewrotność i upadek, jak dawniej nie wierzył w jej cnotę i uczciwość; traci głowę do tego stopnia, że nie bacząc na rady i przestrogi najżyliwszych przyjaciół, postanawia zaślubić Dorynę, aktorkę, śpiewaczkę z bardzo nadszarpaną reputacją, kobietę, którą odtrącił wówczas, gdy moralnie zasługiwała na cześć i szacunek, miłość i nazwisko jego.

Dzisiaj ów zmięty kwiatek z cudzej butoniery wydaje mu się świeżą, czystą, ponętną lilią, przed którą padnie na kolana i ostatni posiadzie względny, których nie chciał posiadać, jako pierwszy i jedyny.

W pomysł „Doryny“ jest dużo trafnie zauważonych rysów psychologicznych i dużo życiowej prawdy, ale i dużo pesymistycznej goryczy, w której pisarze, jak Rovetta, szczególniejszemu smakują, stanowiąc jakby odmienny rodzaj pszczoł, co nie lubią miodu a zbierają tylko samą gorycz, same jady z kwiatów i ziół na szerokim błoniu ludzkości i życia.

Ta gorycz ma być wprawdzie lekarstwem dla chorego społeczeństwa, ale i medycyna samymi goryczkami nie leczy, licząc się z naturalnym wstrętem organizmów do wszystkiego, co zbytnią przykrość i niesmak wywołuje, bo wówczas lekarstwo może być gorsze od choroby i pacjent przyjmować go nie zechce; i medycyna korzysta ze swoich opłatków i emulsji, w których zadaje bardzo silne i skuteczne środki, aby ich gorycz i niesmak złagodzić a jednak odpowiednio na chorego podziałać.

Podobnie też, uznając słuszną zasadę „weryzmu“, którego hołdownikiem jest Rovetta, z wieloma innymi pisarzami dzisiejszych Włoch, niepodobna mu nie przypomnieć, że nie wszystko jest prawdą, co tylko w oczy kole, i że nie każda, nawet najostrzejsza prawda, musi koniecznie wykałać oczy.

Niezaprzeczenie autor ma etyczne cele w dziedzinie i z pewnością jest o wiele szerszym w swojej moralizatorskiej misji od bardzo wielu pisarzy francuskich, mimo to zamiarów swoich nie spełnia całkowicie, zrażając widza do swoich utworów zarówno, jak i do życia, bo podsuwa mu najprzykrejsze wnioski na końcu, które go zniechęć,

przygnębić, rozstroić muszą i odebrać resztki wiary w coś lepszego, szlachetniejszego, silniejszego w naturze ludzkiej, w charakterach, w stosunkach, czynach, dążeniach i działaniach ludzkich.

W „Dorynie“ wszystko jest licha warte; niema w tej sztuce, oprócz starej, ograniczonej matki Teresy, figury epizodycznej, ani jednej postaci godnej szacunku i sympatii; po skończeniu sztuki widz ucieka do domu z teatru, kontent, że się z tem towarzystwem rozstał i postanawia sobie nigdy więcej do niego nie wrócić.

Wrażenie to, co prawda, wywołuje w nim większa część dzisiejszych sztuk „nowych“ i ztąd zapewne pochodzi, że tak krótko utrzymują się one na scenie, pomimo swojej idei, tendencji, technicznej maestrii w obrobieniu tematów i zalet sceniczych.

I „Dorynę“ czeka tenże sam los w repertuarze, tem bardziej, iż sztuka nie należy ani do właściwie obsadzonych, ani do dobrze granych na naszej scenie. Artyści nie czują się w swojej skórze i — powiedziałbym szczerze, nie rozumieją swoich ról należycie.

Na wyróżnienie tylko zasługuje p. Rapaeki jako maestro Costantini, ale jedna jaskółka wiosny nie czyni, i jedna dobrze grana rola sztuki nie ratuje.

M. Gawalewicz.

## KSIAŻKI DLA DZIECI I MŁODOZIEŻY.

### II.

Księgarnia M. Areta óbdarzyła młodych czytelników kolendą dobrą i obfitą. Do najlepszych bo zwykle najmocniej zajmujących należą w tym zakresie opisy podróży i przygód w dalekich stronach świata, bo z natury rzeczy zaciekawiają one żywo młodych czytelników i obok pewnych wiadomości z nauk przyrodniczych, z geografii, rozbudzają wyobraźnię, której polot zwracają zarazem w stronę ztąd dobrą, że przedstawiają myśli młodej szersze horyzonty życia, więc umysł czynniejszym się przez to stając, nie zadawalnia się jedynie codziennych, realnych, stosunków biegiem. O wpływach czytania na wychowanie możnaby napisać księgę grubą, którąby należało każdej matce przeczytać i to uważnie, ze zwrotem myśli na objawy charakteru dzieci, ich skłonności i siły ich władz umysłowych.

Bardzo dobrą kolendą dla dzieci nieco starszych, zwłaszcza chłopców, jest książka Władysława Umińskiego, autora znanej czytelnikom naszego pisma, a w treści swej bardzo dobrej książki „Podróż bez pieniędzy“, obecnie zaś są to dwie krótsze powieści, równie zajmujące: „Wędrówna wyspa“ i „Przygody w puszczy“. Pierwsza to podróż ludzi niebogatych, bo emigrantów europejskich wracających do Europy z Ameryki, między którymi znajduje się pięćdziesiąt rodaków naszych, przezwannie włóścian, rzemieślników, dających z tęsknotą w piersi do domowych ognisk swoich. Przebyli wiele prób, wiele zawodów, to też choć nie było im zbyt wygodnie na pokładzie dolnym, krzepiła ich nadzieja powrotu do ziemi rodzinnej, gdy naraz spotkali niespodziewanie na morzu pełnym wysepki nieznaną geografom; statek uderzył o nią silnie i nieszczęśliwym zrządzeniem losu dwóch z pośród nich, wracających z Brazylii, zostało na ląd jej wyrzuconych. Druga „Przygody w puszczy“ należy do tego samego typu; są to również smutne przejścia naszych biednych emigrantów w Brazylii i obie przedstawiają nietylko zajmujące czytanie, ale młodzi czytelnicy nabędą niejedną wiadomość z zakresu geografii i przyrody stron tamtejszych.

„Robinson nadpowietrzny“, przekład z francuskiego oryginału I. Mecuille, z czterema rycinami, przenosi młodego czytelnika w sfery nadziemskie, gdzie ogląda on między innymi ciałami niebieskimi i ojczyznę człowieka, ziemię. Łączy się z tem

i historia rodziny podróżnika wśród sfer niebieskich, pełno tu jest scen efektownych, pełno fantazyi, opartej przecież na podstawach wiedzy naukowej i hipotezach, które za wiedzy tej pomocą tworzy sobie człowiek, pragnąc rozedrzeć zasłonę otaczających go zjawisk wśród wszechświata.

*Morysienka, albo dwa miesiące na Rugii*, powieść napisana bardzo zajmująco przez Jadwigę Warnka, ma tę jeszcze wielką zaletę, że obok teraźniejszości stawia przeszłość — słowiańską przeszłość tej krainy, wyspy na morzu Bałtyckim. Opis skreślony jest zajmująco, podania, które autorka przytacza, pomagają młodym czytelnikom do wytworzenia sobie obrazu dziejów Rugii, a raczej Roi, bo taką była przed wiekami nazwa tej wyspy, gdy dzierżyli ją jeszcze sławianie, Wendowie. Czy przecież badacze słowiańscy uznają to, co autorka powtarza za historykami niemieckimi, że wyspa była pierwotnie zaludniona przez pokolenie germańskie? Szkoda też, że wymieniwszy słowiańskie nazwy pewnych miejscowości, jakich jeszcze lud, zwłaszcza wiejski, używa, sama posługuje się najczęściej nazwiskami niemieckimi. Stopnica jest w jej opisach prawie zawsze „Stubnitz“, wioska Swiatowid „Santewitz“, Górne „Gohren“, ale to już jest wielką zaletą książki, że słowiańska przeszłość tej krainy interesuje autorkę, lecz szkoda, że nie podała wcale słowiańskiej nazwy zamieszkiwanej przez siebie miejscowości, nazwanej przez nią stale „Sassnitz“.

*Lalka panny Gosi*, powiastka dla małych dziewczynek przez Z. Morawską, przedstawia rodzeństwo: dziewczynkę i dwóch chłopczyków. Dziewczynka dostaje w podarunku od ciotki lalkę i to lalkę jakich mało, dużą, ładnie ubraną, wymawiającą wyraz: Mama... i wykonywającą różne ruchy za naciśnięciem sprężyny. Zabawy z lalką i jej losy w rękach dzieci zajmują niewątpliwie małych czytelników, którzy już wyrazy składać umieją. Powiastka zakończy się bardzo pięknie i szlachetnie, bardzo pedagogicznie, bo lalka wstępuje miejsca biednej, młodej dziewczynce wiejskiej, zabłąkanej w lesie, którą dzieci zabierają ze sobą do dworu i którą zajmują się już od tej chwili bardzo serdecznie, choć matka jej zjawia się wkrótce. Jest to uboga komornica ze wsi sąsiedniej i Gosia chcąc powiadomić o jej losach brata Tadzia, który pojechał do szkół do Warszawy, pragnie się nauczyć pisać i dobra ta powieść zakończy się pedagogicznie a zarazem tak, jak dzieje się w życiu ludzi, że jeden dobry uczynek sprowadza drugi, bo pomiędzy panią z dworu a córeczką ubogiej komornicy zawiązuje się węzeł przyjaźni. Gosia postanawia przykładać się pilnie do nauki, aby wkrótce mogła uczyć czytać i pisać Kasię, pod każdym też względem powiastka jest bardzo dobrą i pedagogiczną, zasiewa ona w umysł dziecka szlachetne pojęcie życia i stosunków między sobą ludźmi i bliźnimi.

— *Bal i koncert u sikorki*, nie duża książeczka z ładnymi rycinami, napisana wierszem przez Or-Ota, ma tę wadę dużą, że zaprasza, tak jak sikorka, młodego czytelnika „na salony“. Inne miejsce możnaby wybrać wśród natury na zebranie takie, polanka leśna niezmierz nawet nie przypomina salonów, bo jest tu wzniosłe piękno tej przyrody, w której uroki zapatrzony człowiek stał się sztukmistrzem, uczuł tęsknotę do linii, form idealnych i dał życie kształtom w duchu jego poczętem.

Dzieci które już grać się uczyły otrzymały też gwiazdkę: „Wiązanekę kolend“ na fortepian do śpiewu, ułożoną przez Zygmunta Noskowskiego. Gwiazdka ta, złożona z czterech najpopularniejszych kolend: „Bóg się rodzi“, „Anioł pasterzom mówił“, „W żłobie leży“, „Hej w dniu narodzenia Syna jedynego“, należy do wydawnictw pedagogicznie muzycznych księgarni Areta. Obok tego do rzeczy pożytecznych w zakresie początkowego kształcenia w rysunku należy to co księgarnia ta wydaje w szeregu wzorków dla dzieci zupełnie początkujących a ułożonych przez p. Maryę Gerson, która w przedmowie do pierwszego zeszytu, a mamy ich przed sobą dwa, pisze, iż zadaniem owych wzorków w kratkach jest nietylko wyrobić rękę i oko, ale zarazem nauczyć i rachować przez liczenie kratek przy rysowaniu.

Potrzeba też wymagać tu od dzieci możliwej dokładności w wykonywaniu rysunku, co zawisłem jest od czystości i dociągania linii do punktów nakreślonych, aby zarazem samodzielność, którą autorka uważa słusznie za rzecz bardzo ważną w nauce każdego rodzaju, rozwijać się i tu mogła. Radzi też aby dziecko wyprowadzało sobie z danych wzorów kombinacje dalsze własnego już pomysłu, tworząc z kilku gwiazd prostych jedną złożoną. Ze nauka rysunku ma w pracy, zwłaszcza kobiecej, zastosowania bardzo liczne, *Praktyczne wzorki rysunkowe* zaliczyć można do bardzo pożytecznej kolendy, szczególnie dla dziewczynek. Rysunki w ogóle uczą systematyczności.

M. I.

## Z bieżącej chwili.

— Dzienniki petersburskie, donoszą iż pierwsze stacje agronomiczne, jakie zamierza utworzyć ministerium rolnictwa, będą zorganizowane w okręgach, różniących się pomiędzy sobą pod względem warunków klimatu, gleby, zaludnienia.

— Projekt reorganizacji ministerium komunikacji został już w głównych zarysach uprawniony. Naczelny zarząd komunikacji wodnych i szosowych postanowiono rozdzielić na trzy oddziały: administracyjny, sezonowy, oraz komunikacji morskiej i rzecznej.

— Przy departamencie lekarskim ministerium spraw wewnętrznych postanowiono, jak donoszą dzienniki petersburskie, utworzyć komisję do opracowania projektu z celem zaprowadzenia po wsiach niższego personelu lekarskiego.

— Warszawskie Tow. Dobroczynności postanowiło utworzyć jeden jeszcze przytułek dla dzieci rodziców ubogich w okolicach rogatki Jerolimskiej, gdzie mieszka najwięcej rodzin robotników. Przytułek ten otwartym będzie w początkach kwietnia, mieszcząc łóżek osiemdziesiąt. Koszt utrzymania ma wynosić 700 rs.

— Roboty prowadzone z wielkim pośpiechem koło gruntownej restauracji prezbiterium katedralnego kościoła Ś-go Jana, zostały już wykończone z wyjątkiem górnej części stall i lewego okna. Odsłonięcie i poświęcenie odnowionego prezbiterium odbyło się uroczystie.

— Wystawa szkiców jest licznie zwiedzana, do szczególnie zajmujących publiczność należą dwa obrazy prof. Gersona, przedstawiające widoki Żelazowej Woli, a na jednym z pośród nich jest przedstawiona postać Szopena. Młodzieniec jasnowłosy siedzi pod drzewem, zapatrzony w dół, gdzie rzeka Utrata toczy spokojnie wody swoje. Wiele wystawionych szkiców znalazło nabywców, sprzedano między innymi obrazy olejne: Gersona, Alchimowicza, Brodowskiego, Dąbrowskiego, Mireckiego, Wastkowskiego, Stasiaka, Pawłowskiego, Żmurki, jako też pań: Dulebianki, Kanigowskiej, Sokołowskiej, Stankiewiczówny. Z działu akwarel i rysunków sprzedano prace: Kostrzewskiego, Kamińskiego, Gumińskiego, Golańskiego, Lindemanna, Pillatiego, Rayskiego.

— Zapisy uczynione na rzecz kościołów i instytucji warszawskich przez p. Ludwika Steinke, zostały zatwierdzone a mianowicie: na rzecz nowo budującego się kościoła Ś-go Floryana na Pradze 500 rs., na restaurację kaplicy Loretańskiej w kościele Ś-tej Anny na Krakowskim-Przedmieściu 200 rs., na mający powstać dom schronienia dla

podupadłych rzemieślników 200 rs., dla warszawskiego cechu introligatorów 200 rs., w pożyczce premijowej szlacheckiej.

— Komitet zawiązany w Krakowie z celem uczczenia pamięci Matejki odbył pod przewodnictwem prezydenta miasta sesję na której postanowiono zawiązać Towarzystwa imienia Matejki, na wzór Towarzystwa Dürera w Noremberdze. Komitet rozporządza obecnie funduszami przeznaczonymi na zakup budynku, któryby się stał „Domem imienia Matejki,” oraz pozostałej po mistrzu spuścizny artystycznej, a to: szkiców, rysunków, historycznych strojów, ryzsztunków i sprzętów.

Komitet ten posiada w gotówce 11.717 zł. reń., w subskrypcjach 5.775 zł. reń., obok tego przyznano mu od rządu subwencji 500 zł. reń.

— Kompozytorski koncert Wład. Żeleńskiego, w Krakowie zgromadził tak liczne grono słuchaczy, że zabrakło biletów i teatr był przepelniony. Zjechało wiele osób z Warszawy, ze Lwowa, wiele osób ze wsi. Wyjątki z „Goplany,” nieznannej jeszcze w Krakowie pociągały, wzbudzając zachwyt. Koloryt swojski bardzo wiele tu znaczył i publiczność darzyła też mistrza oklaskami i wiehcami.

— Modrzejewska ukończywszy występy gościnne we Lwowie, jedzie do Krakowa, gdzie przed samymi świętami Bożego Narodzenia da koncert, który zapewne zgromadzi słuchaczy tak licznie, jak to bywało we Lwowie. Artystka występowała raz w Stanisławowie bezinteresownie, na korzyść tamtejszego teatru w roli Amelii w Mazepie.

— Paderewski znajdzie się wkrótce w Warszawie, ale zaledwie przepędzi tu dni parę, wracając od grobu niedawno zmarłego ojca, przy którego zgonie nie był, gdyż o chorobie jego znać mu nie dano ze względu na zdrowie jego, które bynajmniej dobrem nie jest. Znażony i zdenerwowany pragnął odpocząć w willi swojej pod Paryżem.

— W Jarosławiu zawiązało się pierwsze w Galicji towarzystwo ornitologiczne, z celem zaprowadzenia wzorowej i na szerszą skalę prowadzonej hodowli drobiu, którą uznano tutaj za sprawę, mającą znaczenie niemałe w ekonomii rodzin ziemiańskich, jak tego dowiodło zebranie bardzo liczne w sali ratuszowej na pierwszej zwołanej obradzie. Po naradach nad statutem Towarzystwa, któremu przewodniczy hr. Stefan Zamoyski, obrano prezesem p. Konstantego Mikiewicza. Do wydziału powołano obok hr. Stefana Zamoyskiego i p. Tadeusza Dobrowolskiego, pań dwie, a to: księżnę Czartoryską Wandę i p. Diczinsonową.

— Rezultat finansowy zamkniętej już obecnie wystawy we Lwowie okazał się bardzo pomyślny, jakkolwiek wróżno inaczej. Gdy poprzednie wystawy zostawiły po sobie miliony deficytu, obecnie przewyżka dochodu nad rozchodem jest znaczną. Po ostatecznym obliczeniu cyfry będą ogłoszone przez dzienniki.

— Bogate zbiory hr. Wiktora Bawarowskiego z Bawarowa, mieszczące się w pałacu jego we Lwowie, oraz w wiejskiej rezydencji w Myszkowicach, stały się własnością ogółu, w skutek jego ostatniej woli. Umarł on śmiercią tragiczną, bosamobójezą, w skutek rozpacz, spowodowanej chorobą oczu. Parę miesięcy temu wzrok jego zaczął słabnąć tak, że potrzeba było wezwać lekarzy, którzy uratowali zdolność widzenia, ostrzegając przecież, że nie może on już posługiwać się wzrokiem jak dawniej, nie może czytać zwłaszcza starożytnych dokumentów i ksiąg, szczególnie drukowanych gotykiem i zbladłych pod działaniem czasu. Zabroniono mu również i pisać przy świetle, co wprawiło go w taką rozpacz, że żyć już nie chciał. — „Rola moja na świecie ziemskim skończona już, skoro pracować nie mogę... rzekł, usłyszawszy ten wyrok i godzin kilka siedział zadumany. Na drugi dzień w południe wysłał służącego do miasta, za jakimś jakoby sprawunkiem i spełniła się tragedia okrutna. Przeciął sobie gardło, aż do kości pierzawowej.

— Wystawa w Antwerpii rozkłada się obecnie, wywożą się okazy, burzą się również pawilony już opróżnione i tylko „Vieil Anvers“ i salon sztuk pięknych pozostały i będą pamiątką wystawy, a nawet w salonie sztuk urządzono wystawę jednego z pierwszorzędných tu malarzy, Izydora Meyersa, który dał szereg krajobrazów Zelandyi, Flandryi, brzegów rzeki Skaldy i wybrzeży morskich. Po licznych przedmiotach obojętnej sztuki flamandzkiej z pewnego rodzaju zapalem przyjmują te widoki swojskie. Zauważono, że odwiedza wystawę znaczna liczba kobiet.

— Pokłady złota zostały odkryte w Szwajcaryi, w kantonie Wallis, a odkrycie to wpłynie niewątpliwie na stan kraju, którego największem bogactwem były dotąd piękności przyrody. Dzienniki miejscowe pytają zali to będzie zysk, czy strata?

— Wytworzone w Niemczech łącznie ze Szwajcaryą Towarzystwo turystów zamierza urządzić balon o 30.000 metrach kubicznych objętości, zdolny unieść łódkę mieszczącą pięćdziesiąt osób. Łódka wraz ze sznurami ma ważyć 12.000 kil., a podzieloną będzie na kilka części: oddzielne, wygodnie a nawet wygodnie urządzone pokoje. Balon wzniesie się ze stacyi Schilet i zatrzyma się na 99 metrów powyżej wierzchołka Jungfrau. Tak wzlot jak spadek trwać będzie godzinę.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się: powieść **Rubikon**, przez E. F. Benson. Przekład z angielskiego ark. 2.

## OD WYDAWCY.

„Bluszcza“ w roku przyszłym wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

**TREŚĆ:** Na dworze deszcz i mgła...., przez Czesława.—Pogawędka, przez ??—Kobiety w życiu Danta, przez M. I. (dokońc.).—Bez woli, powieść przez Wandę Grot Bęczkowską (dalszy ciąg).—Przegląd teatralny, przez M. Gawalewicz.—Książki dla dzieci i młodzieży, przez M. I.—Z bieżącej chwili

**Dodatek obejmuje:** Rubikon, powieść, przez E. F. Benson, przekład z angielskiego ark. 2.—Przegląd mód.—23 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya stołu.